



Roman Szelański – prawnik, alpinista.
Człowiek potyka się o kretowiska, nie o góry. Konfucjusz.

Kolejna wyprawa na Ama Dablam¹ zorganizowana przez Ryszarda Pawłowskiego od poprzednich różniła się rolą, jaką, chcąc nie chcąc, wyznaczył sobie jej organizator. Po dramatycznych wydarzeniach, jakie rozegrały się miesiąc wcześniej w Tybecie² poprowadził trwającą miesiąc czasu wyprawę. To była taka rekonwalescencja himalaisty, co to jak nie zabije to wzmocni.

Podróż do Lukli, skąd rozpoczęliśmy wędrówkę, odbyliśmy drogą lotniczą z Warszawy, przez Helsinki, Delhi i Katmandu. Ostatni lot dostarczył dreszczyku emocji bo pas, na którym lądował nasz samolot ma nie więcej niż 200 m długości, a urywa się nad przepaścią.

Już po dwóch dniach wędrówki, z przełęczy nad Syangbocze, wioski otoczonej niewysokimi górami, ujrzelśmy odległy o około 30 km cel naszej wyprawy. Odtąd widok Ama Dablam towarzyszył nam przez cały czas. Z każdym dniem rosła w oczach. Gdy wreszcie doszliśmy do Base Camp Ama Dablam, to patrząc na Nią zadzieraliśmy głowy do góry. Była oszałamiająco piękna w swojej szacie ze śniegu i lodu. Z odległości niespełna dwóch kilometrów

widać urwistą i poszarpaną grań prowadzącą do skalno-lodowej ściany, a na niej cienką kreskę drogi wiodącej na szczyt. Widok ten, jak przypuszczam, mógł u niektórych obawy i zasiać zwątpienie, bo droga nie wyglądała na łatwą. Wyjaśniałoby to, dlaczego ciągu najbliższych dwóch dni przeredziły się nasze szeregi. Jedni zrezygnowali na już starcie, a inni wycofali się w trakcie wspinaczki. Obóz opustoszał. Szerpowie zwinęli niepotrzebne już namioty. Chociaż to dla tej góry przejechaliśmy kawał świata, to nikt nikogo nie nakłaniał do zmiany decyzji, bo do gór, tak jak do wódki, namawiać nie należy. Bywa, że szkoda. Nie wystarczą zmuśne i długotrwałe przygotowania, konieczne by sprostać fizycznym trudom wspinaczki. Trzeba mieć jeszcze wystarczająco silną motywację, by przewyciężyć chwile słabości i zwątpienia. Kiedy „siada psyche”, to lepiej zawnoczu się wycofać, co też niektórzy uczynili.

W Base Camp na wysokości 4578 m.n.p.m. mimo aklimatyzacji oddycha się z trudnością. Ludzie snują się między namiotami nieco otepiali, a zewsząd słychać kaszel, jak w sanatorium dla gruźlików. Wysokość robi swoje. Tutaj w bezpośredniej bliskości góry czuje się jej potęgę. Wyraźnie widać olbrzymi serak wiszący jakieś 200 metrów pod szczytem – jest w nim skumulowana energia o gigantycznej sile niszczącej. Przed rokiem oderwał się jego niewielki fragment i spadł na serak znajdujący się 100 metrów niżej, grzebiąc pod sobą ludzi i namioty³. Tam właśnie na tym niższym seraku stanął nasz obóz III. Jest to miejsce stosunkowo bezpieczne. W bezpiecznym miejscu rozlokowana została również nasza baza, a przecież gdyby runął ten olbrzymi serak, to spowodowałby katastrofę, której nikt w bazie by nie przeżył. Wobec sił natury człowiek, nawet w skali takiej jednej, nie największej przecież góry, jest zaledwie

¹ **Ama Dablam** (w tłumaczeniu: *Matka z perłowym naszymnikiem*) - Jeden z najpiękniejszych i najbardziej charakterystycznych szczytów Nepalu.

² Wydarzenia te zostały opisane przez Lucję Kalisz i opublikowane na stronie internetowej http://www.patagonia.com.pl/cho_oyu.php#relacja3

³ W nocy 13-14 listopada 2006 oberwanie seraka spowodowało zasypanie obozu III i śmierć sześciu osób: trzech Europejczyków i trójki Szerpów.

drobiną, ale przecież zdolną do tego postawić nogę na jej szczycie. Podejmując wspinaczkę wkracza się w inny świat. Tylko tam, stojąc na ostrej, powietrznej grani, można podziwiać ocienioną i zimną północną ścianę, a lekko odwróciwszy głowę zobaczyć skapaną w słońcu ścianę południową, opadającą setki metrów w dół do szmaragdowego stawu, który jeszcze rano był skutym lodem. Obietnica oglądania serca Himalajów ze szczytu tej honorowej góry sprawia, że sześć osób decyduje się wyruszyć.

Zwątpienie przyszło wcześniej niż można było przypuszczać. W pierwszym dniu wspinaczki, z obozu I przez radiotelefon poinformowałem Ryśka, że trzy osoby skarżą się na dolegliwości żołądkowe i zdecydowały się wracać następnego dnia rano. Po chwili milczenia zapytał:

- A co z Tobą?
- Zobaczę, jak będę się czuł.
- Każdy pretekst jest dobry.

Sarkazm popiłem herbatą i szybko zasnąłem. Nie miałem zamiaru się wycofywać. Byłem przygotowany na samotną wspinaczkę i robiłem to nie pierwszy raz. W dwójkę czekał na mnie depozyt sprzętu, jaki zostawiłem przed dwoma dniami. Jeżeli, według oceny Ryszarda, największe trudności techniczne były między jedyneką a dwójką, to nie widziałem przeszkód bym pokonał je po raz drugi. Inna sprawa, że rozczarowała mnie postawa mojego młodego kolegi, ale nie mogła mieć wpływu na moje decyzje. Z perspektywy czasu rzecz oceniając, to sytuacja była dziwna. Wszystkie trzy obozy na drodze do szczytu były przez Szerpów założone i zaopatrzone. Aklimatyzację mieliśmy pierwszorzędną, pogoda była więcej niż dobra, a mimo to wyprawa rozlaźliła się w szwach. Wyglądało na to, że honoru wyprawy bronić będzie piszący te słowa (co powiedział mi Rysiek następnego dnia rano, gdy zawiadomiłem go, że startuję do góry) oraz najstarszy uczestnik wyprawy

73 letni Zbyszek Kościelny i Belg, którzy mieli wyruszyć z bazy dzień później.

W następnym dniu tj. w piątek 13 listopada 2007 r. obudziłem się o godzinie 6⁰⁰ i rozpocząłem przygotowania do wyjścia. Nie jestem zbyt przesądny ale trzynasty dzień miesiąca uważam za szczęśliwy, o ile przypada w piątek. Przed wschodem słońca jest zimno ale przygotowanie posiłku i herbaty trwało na tyle długo, że gdy wyłączyłem z namiotu, to słońce też już wstało. Dzień zapowiadał się pogodny i zachęcał do wspinaczki. Byłem gotowy do wyjścia, gdy Marcin, który spał ze mną w namiocie zapytał, czy pomogę mu w gotowaniu herbaty, bo chciałby iść ze mną. Nie była to ostatnia dobra wiadomość. Nasze przygotowania zwróciły uwagę i zachęciły do wyjścia pozostałą dwójkę, tj. Sari i Konrada, których namiot stał kilka metrów niżej od naszego. Do obozu II, w którym dwa dni wcześniej zostawiłem depozyt dotarłem w południe. Tam około godziny czekałem na Marcina, który, jak mi później opowiadał, na Żółtej Turni⁴ robił za Szerpę wciągając do góry cudze plecaki. Z obozu II wyszliśmy w rakach. Sporo czasu zmitrężyliśmy na najbliższej ścianie, którą zablokowała kilkusobowa grupa Angoli. Zawłaszczyli do zjazdu obie liny, używając liny poręczowej jako dodatkowego zabezpieczenia. Pierwsze kamyki, jakie zagrzechotały na kasku skłoniły mnie do przeczekania inwazji w bezpieczniejszym miejscu. Dobrze zrobiłem wycofując się, bo po chwili obijając się o skały poleciał w dół czekan. Przed takim pociskiem nawet kask by nie uratował. W końcu przeszli, więc wpiąłem się w poręczówkę i bez problemów dotarłem do śnieżnej grani. Czas płynął, zrobiło się późno a przed nami była jeszcze długa droga do obozu III. Szliśmy wolno. Zaczął prószyć śnieg i była coraz gorsza widoczność. Wkrótce zaczął zapadać zmierzch. Nie miało to większego znaczenia dla bezpieczeństwa, bo

⁴ Prawie pionowa ściana wysokości około 20 m

prowadziła nas poręczówka, ale zaczęło odzywać się zmęczenie. Było już ciemno, gdy usłyszałem wołanie Marcina, że spadł mu jeden rak. Nawiązałem łączność z B.C. i powiadomiłem o tym Ryśka. „Bez raka nie ma co iść. Niech wraca do II.” Przekazałem polecenie, formalności stało się zadość, ale Marcin szedł dalej. Tutaj nikt do niczego cię nie zmusza. Sam podejmujesz decyzje i sam ponosisz ich konsekwencje. Napadało już sporo śniegu i poruszanie się w jednym raku nie sprawiało Marciniowi trudności. Poza tym, jak się okazało, rak mu się odpiął i nie mógł go w tych warunkach dobrze założyć, ale co najważniejsze nie utracił. To nie był ten sam Marcin co wczoraj. Wówczas z powodu zwykłej sraczki, wywołanej stresem chciał wracać, a teraz, chociaż był wyczerpany wielogodzinną wspinaczką, w trudnym eksponowanym terenie na wysokości powyżej 6000 metrów i z jednym rakiem, nie chciał słyszeć o powrocie.

Było już całkiem ciemno i śnieg padał na dobre, gdy zobaczyliśmy namiot. Niestety nie był to obóz III. Przez radio dowiedziałem się, że od obozu dzieli nas jeszcze około 40 minut wspinaczki, co zważywszy nasze tempo oznaczało półtorej godziny. Marcin oświadczył, że dalej nie pójdzie. Był zziębnięty i zmęczony. Zdecydował się zostać w tym namiocie mimo, że nie było w nim nic poza karimatą, podczas gdy w obozie III czekał na nas depozyt jedzenia oraz palnik, menażka i kartusze z gazem. Ponieważ był głuchy na wszelkie argumenty, więc poszedłem sam. Wkrótce trafiłem na drugi namiot, w którym było jedzenie i gaz. Pokusa aby tam zostać była wielka, jednak poszedłem dalej. Po jakimś czasie usłyszałem dochodzące z dołu przekleństwa i zobaczyłem światełko czołówki. Zawróciłem. To był Konrad. Zostaliśmy na noc w drugim namiocie.

Do ataku szczytowego wyruszyliśmy następnego dnia ze znacznym opóźnieniem. Szykowaliśmy się do wyjścia, gdy nadszedł Marcin. Miał

fatalną noc. Był głodny i przemarznięty. Trząśnięty jak w febrze. Doszedł do siebie dopiero wtedy, gdy został nakarmiony i napojony. W końcu wyszliśmy i po niedługim czasie dotarliśmy do obozu III. Na rozległej kopule widocznego z bazy małego seraka stały dwa nasze namioty. Wypakowałem z plecaka śpiwór i zostawiłem namiocie, po czym wyruszyłem. Drogę wytyczała poręczówka biegnąca ostro pod górę. Zaczęło się żmudne podchodzenie. Kilka razy myślałem, że już zbliżam się do szczytu. Za każdym razem okazywało się, że przede mną wyrasta kolejne wypiętrzenie. Wolno, z trudem, ale ciągle do przodu, wciąż wyżej. Tempo ślimacze. Wywlokłem się na szczyt o godz. 15/30. Byłem wykończony. Uruchomiłem radiotelefon: „Jestem na szczycie”. Rysiek mi gratuluje i pyta o pozostałych. Chce bym zachęcił ich do wspinaczki. Oczywiście, że zachęcę. Z plecaka wyciągam aparat fotograficzny i proporzyczek Polskiego Związku Alpinizmu. Z powodu niskiej temperatury aparat odmawia mi posłuszeństwa. W końcu udaje mi się wyjąć baterię. Ogrzewam ją w dłoni, wkładam do aparatu. Wreszcie Nikon zadziałał. Wbiłem czekan, zawiesiłem na nim plakietkę i zrobiłem zdjęcie, a potem jeszcze pełną panoramę 360⁰. Wciąż nikt nie nadchodzi. Dłużej nie mogłem czekać. Silny wiatr pogłębiał uczucie zimna. Musiałem wracać, żeby się nie odmrozić. Na zejściu spotkałem Marcina. Za nim podążał Konrad. Zachęcałem, że szczyt już blisko.

Dwa dni później na stronie internetowej Patagonii ukazała się wiadomość:

zapiski sms
z ostatniej chwili:

16.11.2007r.

Kolejna osoba zdobyła Ama Dablam Belg Johan Van Dame. Dwa dni temu na szczycie stanęli:

Finka Sari Nevala oraz Polacy
Roman Szelaḡowski, Konrad
Ziółkowski i Marcin Jaskółka.

Roman Szelaḡowski